

## ZA MAŁO ŻEBY ŻYĆ, ZA DUŻO ŻEBY UMRZEĆ

### BAJONÓWKA



*Julia i Franciszek Kluskowie przed swoim domem od strony ogrodu i sadu, 1938 rok*

Zima była coraz sroższa. Pewnego ranka poszłam wydoić krowę, aby mąż nie odrywał się od swojej roboty. Gdy wróciłam, domownicy już ugotowali dla siebie jedzenie, a ogień zalali wodą i nawet pobielili piec. Nie powiedziałam ani słowa, żeby znów się nie rozplakać. Nie zapewniłam ich, że oddamy to drzewo, które zużyliśmy. Teraz było

już tak zawsze. Ja nie mogłam rządzić się ich opalem, z ich strony nie było żadnych słów zachęty czy przyzwolenia, więc piłam zimne mleko. Tylko po drodze zawsze popłakałam nad sobą i nad mężem, który tak ciężko musiał pracować. Bardzo go kochałam, ale nie byłam w stanie nic mu ulżyć. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy będziemy mieli nasz dam. Gdy były już słupy po rogach i płatwy, mąż zrobił szybko dach, aby nie nasypało do wnętrza śniegu. Znow trzeba było oderwać się od tej roboty, by wykopac ziemniaki. Mieliliśmy wtedy cały hektar ziemniaków. Mąż najął ludzi i wykopali, a i tak trwało to dość długo, bo kopało się ręcznymi hakami.

Mój mały - Sylwus - sypiał w jednej kołysce z 2-miesięczną córeczką wdowy. Dzieci spały nóżkami do siebie. Pewnej nocy dziewczynka może kopnęła go nóżką i mój synek zaczął płakać, potem ona też. Stary gospodarz się obudził, zaczął przeklinać i krzyczeć, że naznosili mu bajstruków i w nocy spać nie może. Ja swoje dziecko wzięłam do siebie i już do rana tylko cichutko

popłakiwałam. Rano wyszłam wydoić krowę i powiedziałam Franusiawi, że dziś wracam z dzieckiem i żeby pożyczył od kogoś kołyskę. Ziemiankę wprawdzie już przykrył dach, ale nie było w niej pieca, ani okna, ani drzwi. Ponieważ bardzo dużo dzieci umierało - kołyskę udało się bez trudu pożyczyć.

Mąż narąbał drewna, na środku tej nie dokończanej ziemianki rozpaliliśmy ognisko, a gdy było już dużo żaru, wtedy napięliśmy sobie ziemniaków. Przy wejściu zawiesiliśmy tymczasowo koc, a otwory na okna pozatykaliśmy workami z sianem. Kołyska została umieszczona na grubych, wysokich klockach, aby dziecko nie zmarzło od chłodu ciągnącego od ziemi. Byłam taka szczęśliwa, jakbym wprowadziła się do pałacu. Wieczorem mąż wziął litr wódki i poszliśmy podziękować sąsiadom za to, że mnie przygarnęli. Dymarski widząc, że chcę zabrać dziecko, zaczął niby tłumaczyć, że nie przeszkadza i może ono jeszcze u nich być. Ale ja wzięłam maleństwo i podziękowałam za wszystko. Żadna siła by mnie tam nie zatrzymała, tym bardziej, że mieliśmy kawałek swojego dachu nad głową. Dziecko wtedy było już ochrzczone, bo gdy nieraz płakało, to bałam się, że jest ono jak ta bańka na wodzie, co za chwilę pod wpływem nawet leciutkiego dotyku pęknie i wszelkie

powietrze - życie z niej uleci. Poprosiłam zatem tę córkę-wdowę od Dymarskich za kumę i ugościłam, dając co tylko mogłam do zjedzenia i picia, dziękując raz jeszcze za pomoc. Niewiele tego wszystkiego było, ale chcieliśmy, by jak najlepiej wypadło, gdyż mieliśmy zamiar żyć z nimi w zgodzie. Gdy nabrałam trochę sił, ścięliśmy grubą brzozę, porąbaliśmy ją i mąż zawiózł im cały wóz drewna.

Przez kilkanaście dni rozpalaliśmy ogień na „podłodze”, tzn. na ubitej ziemi i tym sposobem ogrzewaliśmy naszego synka. Potem zjawił się, nie pamiętam skąd i jakim cudem, murarz. Cegłę od dawna mieliśmy przygotowaną, więc w parę dni stanął piec chlebowy oraz kuchenka na trzy fajerki. Nie posiadaliśmy w naszym gospodarstwie nawet cepów. Mąż zatem zwykłą pałką „umłócił” trochę żyta i zawiózł do młyna zemleć. Dziecię miałam w domu od matki i tak upiekłam w naszym nowym miejscu pierwszy chleb. W piecu mieściły się cztery duże bochenki. Nie potrafię opisać naszej radości. Wychodził prosto uchodzi z komina i wdychaliśmy rozchodzący się wokół zapach świeżego chleba. Dobrze zapamiętałam smak tego pierwszego chleba z uzyskanej w takim trudzie mąki. Niedługo po tym wydarzeniu

mąż kupił deski i zrobił drzwi. Zdobyl również gdzieś małe okienko i włożył je w przygotowany otwór. Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi! W ziemiance było teraz sucho i ciepło; synek chował się zdrowo, nawet nigdy nie był szczepiony, bo nikt wtedy o to nie dbał (bo też i jak?).

Nie wszyscy osadnicy zdążyli pobudować chociażby tymczasowe pomieszczenia lub ziemianki. Niektórzy przyjeżdżali na swoje działki, nocowali w stertach słomy, porobili co najpilniejsze i wracali do Szubkowa.

Dom mieliśmy, należało teraz zająć się budową stajni, żeby zwierzęta zimą nie pomarzły. Ścieliśmy kilka brzoź, na rogach powbijaliśmy grubsze słupki, u góry były one specjalnie połączone drągami i oplecione cienkimi gałęziami. Wzdłuż tych ścian, na zewnątrz kładło się obornik, który tworzył warstwę ochronną. Liche to było pomieszczenie, ale chroniło inwentarz od mrozu i deszczu. W tej stajni był cały nasz dobytek, tj. krowa, cielę, i dwa konie (mąż dokupił drugiego). W ten sam sposób zrobiliśmy chlewik dla świń.

Gdy już jakoś uporaliśmy się z tymi podstawowymi pracami przy urządzaniu naszego domostwa, Franuś wybrał się do rodzinnej wioski, by przy okazji odwiedzić rodziców. Nic nikomu nie mówił, jak tu żyje-

my. Moi rodzice dali mu trochę pieniędzy, byśmy zakupili, co potrzebujemy do naszego gospodarstwa. Gdy wrócił, zaraz pojechał na targowisko do Aleksandrii. Kupił tam świnie i dwa prosiaki. Wsadziliśmy je wszystkie do tego wyplatanego chlewika, a one zaczęły się gryźć, rozwalily wszystko i uciekły. Do północy uganiałiśmy się za nimi i nie udało nam się ich połapać ani przygonić. Zostały gdzieś o kilometr od domu, a my wróciliśmy zmartwieni, przekonani, że straciliśmy je na zawsze. Myśl o tym nie dawała nam spać. Rano wychodzimy na podwórze i patrzymy, a nasze prosiaki pasą się w kopakach żyta, co się suszyło od żniw. Całe zdarzenie więc skończyło się szczęśliwie, a my odcchnęliśmy, wierząc, że nie zawsze musi być źle, że coś się wreszcie musi zmienić.

Był rok 1923. Sprzedaliśmy sporo ziemniaków, bo nam dobrze owego roku obrodziły. Było z tego parę groszy. Franuś za każdą zarabianą złotówkę kupował materiały na rozbudowę naszego gospodarstwa. W wolnych zaś chwilach zwoził drzewo z lasu i sam obrabiał. Gdy już było wystarczająco dużo zebranego budulca - najął majstrów i wybudowali dużą stajnię dla koni i krów oraz pomieszczenie tymczasowe dla świń. Następnie przystąpili do stawiania magazynu na zboże, równo-

częściej kończąc budowę stajni - wstawianie okien i drzwi, malowanie. W ten sposób bydło i konie doczekały się ciepłego pomieszczenia. W roku następnym postanowiliśmy zbudować stodołę, bo zboże stojące przez cały czas w stertach, w dużej części marnowało się. Zdołaliśmy jednak zaledwie postawić dach wsparty na słupach, resztę dokończyliśmy w 1925 roku.

Pamiętam, że młócenie zboża było wtedy jedną z najcięższych prac. Któregoś lata mąż pożyczył młocarnię od Ukraińców. Potrzeba było do niej piętnastu robotników oraz cztery konie do kieratu. Dziennie młócono około 20-25 metrów, potem trzeba to wszystko przepuścić przez wialnię. Połowa zboża szła na opłatę młocki: za samą maszynę płacono pięć pudów, tj. 80 kilogramów dziennie, a młócenie trwało nieraz i dziesięć dni. Mąż często jeździł do Równego, do składu desek i drzewa, i przy okazji zaglądał do składnicy maszyn zagranicznych. Pewnego razu zobaczył tam piękną młocarnię Wichtere'a. Kosztowała 300 dolarów USA. Od tego czasu obraz nowej młocarni nie odstępował od niego i nie dawał mu spać po nocach. Ile razy był w Równem, to zachodził ją oglądać. Ciągle o niej marzyliśmy. Wtedy wpadłam na szczęśliwy pomysł, żeby poprosić o pożyczkę moją siostrę Weronię, która

osiedliła się w Ameryce. Opisałam jej trochę nasze życie i plany. Po niedługim czasie nadeszły od niej pieniądze. Franuś od razu pojechał kupić maszynę. Z całej okolicy schodzili się ludzie oglądać ją, bo był to istny cud techniki na tamte czasy i nikt czegoś podobnego w życiu nie widział. Maszyna posiadała przystawkę, komplet sztangi oraz dobrą wialnię. Była o wiele sprawniejsza od tamtych, pożyczanych. Młóciło się dziennie cztery razy więcej i o połowę mniej ludzi potrzebna była do jej obsługi. Mąż znalazł parobka do koni, a sam młócił ludziom zboże. Później zgłosił się młody Ukrainiec chętny do tej pracy. Franuś go przeszkolił; nauczył zasad obsługi i konserwacji. Płaciliśmy mu, jak pamiętam, po pudzie żyta, tj. 16 kg za dniówkę, a mąż za wypożyczenie maszyny pobierał opłatę w wysokości jednego metra żyta dziennie. Przeważnie raz na tydzień Franuś zawoził ziarno do Równego, a stamtąd przywoził materiały budowlane.

W 1924 roku urodził się nam drugi syn - Czesio.

W następnym roku rozpoczęliśmy budowę domu. Miał on być bardzo duży, wiele zatem trzeba było desek na powały, podłogi, okna, drzwi, szczyty. Z centralnej Polski przyjechali tracze i cięli drzewo, majstrowie wbudowywali, stolarz

przez kilka miesięcy robił okna i drzwi. Praca szła sprawnie, bo teraz zawsze mieliśmy gotówkę, więc kupowaliśmy wszystko, co było potrzebne.

W 1926 roku urodziła się nam córeczka - Ircia. Jej chrzciny odbyły się w nie wykończonym jeszcze, ale już własnym domu. W ziemiance przymieszaliśmy całe pięć lat. Staraliśmy się co roku coś nowego w gospodarstwie zrobić. Dużym osiągnięciem był założony na słonecznym, południowo-zachodnim skłonie sad. Było w nim ponad 300 drzewek owocowych, a potem każdej jesieni mąż dokupował sadzonek i sad powiększył się do 400 drzewek. W tym czasie zaczęli odwiedzać osadników różni przedstawiciele nawet z ministerstwa. Przyjechał sam minister Jerzy Bąkowicz-Littaur. Oglądali, podziwiali, fotografowali nas i nasze gospodarstwo.

Zapisaaliśmy się na zaoczny kurs męski i żeński księgowości rolniczej im. Stanisława Staszica. Przystąpiliśmy również do Polskiego Związku Hodowców Bydła Czerwonego i od tam raz w miesiącu przyjeżdżał instruktor i zarazem kontroler z Warszawy.

Gdy uporaliśmy się z budową domu i budynków gospodarskich, trzeba było postawić piwnice-spiczlerze. Jedną na marchew, buraki i inne jarzyny, drugą na ziemniaki

i owoce. Należało też postawić szopę na plewy, aby tam je zagarniać przy omlotach. Wszystko to pochłaniało masę pieniędzy, ale mąż chciał, żeby wszystko było zrobione jak najlepiej i z myślą o przyszłości: budynki były okazałe, kryte blachą lub papą, jedynie stodoła kryta była jeszcze słomianą strzechą.

Prawie od początku zaczęliśmy uprawiać buraki cukrowe. Cukrownia dawała zaliczkę, ale staraliśmy się sami zrobić jak najwięcej, bo najmowanie robotników dużo kosztowało. W momencie dostarczenia buraków wypłacali resztę pieniędzy; można też było brać cukru, ile się chciało, tak samo wytlóków dla bydła i melasy. Później zrezygnowaliśmy z uprawy buraków i przestawiliśmy się na bardziej opłacalny tytoń. Ale było przy nim bardzo dużo pracy, szczególnie przy wędzeniu, kiedy trzeba było pilnować dzień i noc.

Najwięcej kłopotów sprawiał brak wody. W pobliżu nie było nigdzie zasobów wodnych - tylko w odległości około 2 kilometrów było źródło w rowie, koło łąk. Kupiliśmy trzy beczki (po 20 wiader każda) i w nich wozilo się wodę do gotowania, prania, mycia, dla krów, koni - słowem do wszystkiego. Latem przywoziło się wodę wozem, zimą - saniami. Wodę, która pozostawała, wylewaliśmy do balii, ce-

brów, wiader. Zimą trzeba ją było wnosić do stajni, żeby nie zamarzła. Strasznie ciężka praca. Kilka razy mąż ponawiał próby kopania studni, ale na głębokości gdzieś 7 metrów natrafiał na pokłady kredy i nic się nie dało zrobić. Wtedy zjawił się, nie wiadomo skąd, różdżkarz, przewlewał mleko nad dołkiem to tu, to tam, wreszcie powiedział, że woda jest na głębokości 30 metrów. Zaproponował, że wykopie studnię, że da swoich ludzi, rury i pompę, a my zapłacimy 700 złotych oraz damy im wyżywienie i noclegi. Wydatek ogromny, ale razem z sąsiadem - Fiołkiem - uradziliśmy, że studnia musi być. Wykopali ją na granicy naszych działek. Mąż zrobił ogromne drewniane koryto, do którego zawsze pompowało się wodę i było piło wprost z niego. Skończyło się dźwiganie ciężkich wiader.

W 1928 roku urodził się, w siódmym miesiącu ciąży, syn - Henryk. Szczęśliwie, właśnie otwarto nowy szpital powiatowy w Równem i Franuś tam mnie wraz z nim zawiózł. Rozpacz, co też za nieszczęście nas spotkało. Dziecko było duże, ale w ogóle nie otwierało oczu i wciąż spało. I nie miało wcale paznokci. Wreszcie pewnego dnia spróbowałam otworzyć mu oko, a tam tylko białko - nie ma tęczy. Ja od razu w płacz. Zawołałam Franusia i pokazuję, jaką

straszną rzecz odkryłam. On od zmysłów odchodził. Nic jednak nie można było zrobić. Zaczęłam prosić Boga, żeby go uzdrowił - dla siebie - na księdza, żeby tylko nie był kaleką. Przy każdym karmieniu (zawsze karmiłam dzieci piersią rok i sześć tygodni - do pół roku tylko piersią, dopiero potem dokarmiłam; za zwyczaj czułam się wtedy bardzo osłabiona i mężowi mniej mogłam pomóc) zaglądałam mu w oczy i wciąż bez zmian, dopiero po miesiącu zauważyłam ledwie dostrzegalne kółeczko i maleńką, prawie niewidoczną kropeczkę. Powolutku wyłaniały się także paznokietki, podobne do zmarszczonej bibułki. Moja radość nie miała granic, dziękowałam Bogu, że nasz syn będzie normalny.

W 1929 roku przyjechały do osady instruktorki z Warszawy, panie Dardzianka i Wydrzanka, aby założyć Koło Gospodyń Wiejskich. W pierwszym roku istnienia Koła prezeską zastała żona instruktora - pani Świrska, a potem już w następnych latach, aż do czasu wojny - ja. W Kole ciągle coś się działo. Najpierw zorganizowałyśmy trzymiesięczny kurs kroju i szycia. Firma „Alfa-Lawal” sprowadziła 15 maszyn własnej produkcji i kobiety mogły nauczyć się szyc, i w ten sposób sprawić sobie i dzieciom różne nowe rzeczy. Taką maszynę można było kupić na własność, spłacając ją



*Otwarcie Domu Ludowego w Bajonówce z udziałem przedstawicieli 45 Pułku*

w ciągu dwóch lat (kosztowała 630 złotych). Były zgrabne, malutkie, bardzo dobre w użyciu, szyły bowiem do przodu i do tyłu, ba, szyły nawet skórę. Potem zorganizowałyśmy kurs uboju wieprza i przygotowywania różnych wyrobów masarskich, kurs robienia na drutach oraz najważniejszy - czyli kurs gotowania i pieczenia. Pani Dardzianka uczyła wszystkiego od podstaw: siedzenia przy stole, trzymania sztuców, podawania do stołu itd. Oprócz tego uczyła nas rozmaitych piosenek i te wieczory, spędzone na wspólnych śpiewach, rozmowach i radościach, zapamiętałam jako jedne z najprzyjemniejszych chwil w moim życiu. Wszystkie kursy odbywały się w naszym domu, bo był na tyle przestronny - jasne pokoje, obszerna kuchnia, woda w pobliżu, a więc wszelkie wygody - by pomieścić tyle

osób. Do Koła należały i przychodziły na kursy także ukraińskie dziewczęta i kobiety.

Mąż w tym czasie rozpoczął budowę drugiej stodoły, bo ziemię dobrze uprawialiśmy - to i zboża sypały, że aż dotychczasowa stodoła i magazyn pękały w szwach. Wszystko ziarno odstawiało się do Równego, a uzy-

skany z tego dochód nadal przeznaczony był na rozbudowę i unowocześnienie gospodarstwa.

W Bajonówce nie było szkoły. Nasze dzieci musiały chodzić do szkoły odległej o 3 kilometry - w Krechowcach. Jedyne letnią porą przejście tej drogi nie nastroczało trudności, ale już wiosną, kiedy zaczynały tajać śniegi, było tam istne grzęzawisko, gdyż wiodła ona przez nisko położone, podmokłe łąki. Zimą zaś, po obfitych opadach śniegu, przedarcie się przez wysokie zasy było wręcz niemożliwe, nawet dla dorosłego człowieka. W szkole nauczycielki zdejmowały dzieciom buty i ustawiały koło ciepłego pieca, obok suszyły się rozłożone ubrania, a maleństwa płakały - przemoczone i zmarznięte.

Cdn.